

Rozdział 1

Kontemplacja i współczucie.

Drugie spojrzenie

Richard Rohr, OFM

Kontemplacja zdarza się każdemu. Zdarza się w chwilach otwarcia, bezbronności i bezpośredniej obecności.

dr Gerald May

Na większość sytuacji reaguję natychmiast przywiązaniem, obroną, sądem, kontrolą i analizą. Jestem lepszy w kalkulowaniu niż w kontemplowaniu. Nie ukrywajmy, że wszyscy od tego zaczynamy. Fałszywa jaźń prawdopodobnie dysponuje „pierwszym spojrzeniem” niemal na wszystko.

W lepszych chwilach, gdy jestem „otwarty, bezbronny i bezpośrednio obecny”, mogę czasami rozpocząć kontemplację umysłem i sercem. Często potrafię dotrzeć do tej kontemplacji później, a nawet dotrzeć w niej do końca, lecz jest to zazwyczaj drugie spojrzenie. Prawdziwą Jaźń, jak się zdaje, zawsze starają się opanować obronne potrzeby fałszywej jaźni i ją zaślepiają. Jest to ciągle zmaganie, godzina za godziną, przynajmniej dla mnie. Mogę zrozumieć, dlaczego wszystkie tradycje duchowe akcentują codzienną modlitwę, modlitwę poranną, południową, wieczorną, a także przed-pójściem-do-łóżka! Znowu poddaję się tempomatowi drobnej prywaty, żalostnej i wrażliwej, megalomańskiej jaźni.

Pierwsze spojrzenie rzadko ma w sobie współczucie. Za bardzo zajęte jest rozważaniem siebie samego i wczuwaniem się w siebie: „Jak to mnie dotknie?” albo: „Jakiej reakcji wymaga moje samopoznanie?”, albo jeszcze: „Jak mogę odzyskać kontrolę nad tą sytuacją?”. To nas prowadzi ku implozji, ku zajęciu się sobą, do niezdolności wejścia w komunię z drugim człowiekiem albo z chwilą. Innym słowy, najpierw odczuwamy własne uczucia, zanim będziemy zdolni odnieść się do sytuacji i emocji drugiej osoby. Dopiero gdy Bóg nauczy nas, jak żyć „bezbronnie”, możemy od razu stanąć po stronie drugiego człowieka – z nim i dla niego, pogodzić się z nim i z chwilą. Niezbędna jest do tego długa praktyka. Może dlatego wielu ludzi mówi wręcz o swojej „praktyce duchowej”?

Moja praktyka jest prawdopodobnie czymś niepowtarzalnym ze względu na naturę mojego życia. Nie mam żony, rodziny, a nawet stałej wspólnoty. Moja tradycja franciszkańska i zwierzchność zakonna zezwala mi w tych późnych latach żyć w samotności, w małej „pustelni” za klasztorem i parafią. Nazywam to miejsce „Na wschód od Edenu”. Jestem w stanie codziennie (jeżeli jestem w domu) strzec tu długich godzin milczenia i samotności, które wypełniam szczególnymi okresami modlitwy, studium, prowadzeniem dziennika, pisaniem, lekturami duchowymi, ogrodnictwem, spacerami i po prostu patrzeniem. Tego luksusu większość z Was nie posiada. Połowa mojego czasu, którą spędzam w trasie, jest trudniejsza do zrównoważonego zapełnienia i zapewne bardziej przypomina Wasze życie.

W mojej domowej egzystencji w gruncie rzeczy istnieją dwie skrajności – jedna bardzo intensywna (goście i telefony, poradnictwo, praca w CAC, poczta, pisanie i trochę zajęć w parafii Świętej Rodziny), druga – spokojna i samotna. Przeważnie unikam spotkań towarzyskich, gdyż – szczerze mówiąc – wiem, że *moja dusza ma inne pytania i czeka na inne odpowiedzi w miarę, jak się*

starzeję (dzięki Bogu moja wspólnota franciszkańska uszanowała tę potrzebę). Pogaduszki i „zaaferowanie masą drobiazgów” nie rozwiążą problemu. Jeśli zwracam się do grup, gdy mam coś do powiedzenia, to wówczas muszę naprawdę wiedzieć, co wiem, naprawdę wierzyć w to, w co wierzę, a moje życie powinno być raczej doświadczeniem i zgłębianiem, niż prostym powtarzaniem formuł i nauk. Czekam, praktykuję i proszę o drugie spojrzenie.

Przypuszczam, że to *chronione życie wewnętrzne* było historycznym sensem klasztoru, ślubów milczenia, milczenia w kościele, strzeżonych miejsc i stałego życia w klasztorach, gdzie było się wyzwolonym z wszelkich zwykłych towarzyskich konwersacji i zobowiązań. Niektórzy musieli mieć swobodę wyruszenia poza świadomość ego, aby znaleźć głębszy kontakt z nieświadomością, z cieniem osobistym, aby ruszyć w wewnętrzną podróż duszy ku świadomej więzi z Bogiem.

Zgodnie z tradycją pozwalano na życie pustelnicze po osiągnięciu pewnego wieku i dopiero po wywiązaniu się z powinności względem wspólnoty i konkretnych związków. Tylko wspólnota i małżeństwo zmusza nas do zmierzenia się z własnymi demonami, opanowania ich i przegnania. Bez tego samotnicy są jedynie mizantropami lub socjopatami, ludźmi o niskich kompetencjach społecznych lub pragnącymi mieć całkowitą kontrolę nad swoim rozkładem dnia. Nie na tym polega świętość. Unikanie ludzi nie ma nic wspólnego z miłością Boga. Spokój i samotność nie czynią z człowieka kontemplatyka. Introwersja i nieśmiałość nie są tym samym, co wewnętrzny pokój lub komunia. „Cicha woda brzegi rwie” – powiadają, lecz ta woda może być albo bardzo czysta, albo całkiem trująca.

Nasza praktyka musi w jakiś sposób uchwycić ten problem. Modlitwa nie polega na unikaniu rozproszeń, tylko właśnie na tym, jak sobie z rozproszeniami radzisz. Kontemplacja nie jest unikaniem problemu, tylko codziennym scalaniem z problemem i znajdowaniem jego zupełnego rozwiązania. W kontemplacji szybko i pokornie uczysz się, że prawdopodobnie *tak, jak robisz cokolwiek, tak robisz wszystko*. Jeśli jesteś brutalny w swej wewnętrznej reakcji na własną małość i grzeszność, tak samo zapewne będziesz obcował z ludźmi, a nawet uprawiał politykę – brutalnie. Z autobiografii *Dzieje duszy św. Teresy z Lisieux* dowiemy się, jak pewna kobieta przezwyciężyła to rozproszenie. Ta młoda zakonnica kontemplacyjna codziennie zmagiała się z irytacją, osądami, pragnieniem ucieczki od towarzyszek-siostr w klasztorze. Zderzała się z własnymi sprzecznymi motywami i małostkowością. Ciągle zamartwiała się o tych, którzy działali na misjach. Lecz jej celem zawsze było współczucie i komunia. Cierpiała z powodu bezsilności, kiedy licząc na to, że wreszcie będzie się mogła przez to przedrzeć i zacząć kochać. *Wytrzymuje napięcie w sobie samej (to istota kontemplacji), a tymczasem to ona jest pozytywnym rozwiązaniem tego napięcia*. Teresa zawsze docierała do drugiego spojrzenia.

Przechodzenie do drugiego spojrzenia zajęło mi sporą część życia. Z natury mam krytyczny umysł i wymagające serce. Jestem niecierpliwy. Jest to mój dar i przekleństwo zarazem, co jest oczywiste. Wydaje się, że nie mogę mieć jednego bez drugiego. Nie mogę ryzykować utraty kontaktu z moimi aniołami i moimi demonami. Jedne i drugie są dobrymi nauczycielami. Pozwala na to życie w ciszy i samotności i nieodmiennie prowadzi mnie ku drugiemu spojrzeniu, spojrzeniu współczucia, spojrzeniu na nasze życie z pozycji Boga. Moje wnętrze jest w gruncie rzeczy wszystkim, co mam i wszystkim, co mogę dać, chociaż nie zawsze to czynię.

Nazwałem swoją małą samotnię „Na wschód od Edenu” z pewnych bardzo szczególnych powodów, jakkolwiek nie ze względu na wspaniałą powieść Johna Steinbecka (i film) pod tym tytułem. Na poziomie humorystycznym nazwa wynika z faktu, że przeprowadziłem się tam sześć lat temu, o sto metrów „na wschód” od klasztoru Świętej Rodziny, gdzie żyłem wcześniej. Mieliśmy tam

znakomitą wspólnotę. Składała się z trzech księży, dwóch braci i wielu gości, którzy naprawdę korzystali wzajemnie ze swej obecności, w każdym razie przez większość czasu! Wszystkie moje potrzeby i pragnienia były znakomicie zaspokajane. Był to rodzaj „Edenu”.

Wybrałem jednak tę nazwę ze względu na jej znaczenie w życiu Kaina, gdy zabił swego brata, Abła. Właśnie w to miejsce Bóg posłał Kaina, złego chłopaka, gdy ten zbłądził i zgrzeszył, jednak – o dziwo – ze znamieniem miłości i opieki: „Lecz Pan mu powiedział: «O, nie! Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie!» Dał też Pan znamię Kainowi, aby go nie zabił, ktokolwiek go spotka. Po czym Kain odszedł od Pana i wędrował w kraju Nod, na wschód od Edenu” (Rdz 4,15-16).

Dobiegając sześćdziesiątki miałem masę okazji, żeby dostrzec własne klęski, cień i grzech. Pierwsze spojrzenie na siebie samego było krytyczne, negatywne i wymagające. Zupełnie nie było pomocne – ani dla mnie, ani dla innych. Jestem przekonany, że takie poczucie winy i wstyd nie pochodzą nigdy od Boga. Są one tylko pretensjami fałszywej jaźni, gdy ją zaszokuje jej własna nędza. Tak broni się mały człowieczek, który chce być wielkim człowiekiem. Bóg wiezie ku duszy ze współczuciem, nigdy z potępieniem. Gdyby Bóg obcował z nami w sposób srogi i karzący, udzielałby nam jedynie zezwolenia, abyśmy postępowali w ten sam sposób (a tragiczne jest to, że tak właśnie było to pojmowane!). Bóg zamiast tego ofiarowuje nam raczej łaskę „płaczu” nad naszymi grzechami, niż ich doskonale przewyciężenie. Raczej pokorne przyznanie się do własnej małości niż wielkość. To jest droga Kaina, Franciszka i Teresy. Jest to rodzaj płaczu i rodzaj marszu, w którym pozostajemy w nieładzie i zarazem jesteśmy zarazem czujni.

Tak więc moim dalszym powołaniem życiowym jest „wędrować w kraju Nod”, korzystając z tak często udowodnianej Bożej miłości i opieki, spoglądać wstecz na własne życie i życie innych, na Jedno-Jedyne-Życie, spoglądać z wdzięcznością na życie szczęśliwie naznaczone piętnem Kainowym. Kontemplacja i współczucie w końcu się zbiegają. To jest moje drugie spojrzenie. Warto na to czekać, bo tylko drugie spojrzenie widzi w pełni i prawdziwie. Widzi siebie samego, widzi drugiego, a nawet Boga widzi wzrokiem Boga, który zawsze jest spojrzeniem współczucia.